

Grona goryczy

6 października 2016

W trudnych czasach Wielkiego Kryzysu amerykański pisarz, John Steinbeck, wydał swoją słynną powieść „Grona gniewu”, w której opisał losy rodziny farmerów, wysiedlonych z Oklahomy i gnanych za pracą na Zachód, ku ziemi obiecanej, Kalifornii. U kresu wędrówki na bohaterów czekało jednak rozczarowanie: wyczerpanie i brak perspektyw na plantacjach owoców. Ale też nadzieja, dojrzewająca u Steinbecka wraz ze świadomością pracowników. Co roku również na Zachód podążają setki tysięcy polskich pracowników i pracowników sezonowych. Kim są, przez co przechodzą, po co wyjeżdżają, jak są traktowani?



Szacuje się, że rocznie do pracy sezonowej w państwach UE wybiera się aż 600 tysięcy pracowników i pracowników z Polski. Praca sezonowa przyciąga niewykwalifikowanych pracowników, pozbawionych majątku w kraju i pilnie potrzebujących szybkiego dochodu. W tym roku w tym gronie znalazła się też nasza czwórka. Zdecydowaliśmy się podreperować domowe budżety i przeżyć przygodę. Zakosztować francuskiego wina i doświadczyć emigracji na własnej skórze.

Pracę znaleźliśmy po znajomości. Pewna wypłata, legalne zatrudnienie, przyzwoite warunki – przekazał kolega, który był

tam przed laty. Tyle nam wystarczyło. Pojechaliśmy w okolice Lyonu i Belville, w region, który słynie z produkcji wina beaujolais. Rocznie z 22 hektarów upraw winorośli wytwarza się tu 1,3 mln hektolitrow wina (hektolitr równa się 100 litrom). Naszymi pracodawcami była para – Francuz i Polka. Pracować mieliśmy wyłącznie z rodakami, co początkowo nas ucieszyło. Później zrozumieliśmy, że wcale nie była to zachęcająca informacja.

Po podróży autokarem do Lyonu, dalej metrem i lokalnym autokarem do Belville, z dworca odebrała nas pracodawczyni Sandra, drobna, dwudziestokilkuletnia Polka o blond włosach. W samochodzie cierpliwie odpowiadała na wszystkie nasze pytania. – Niedziele mamy wolne? – zapytałem, w nadziei, że po pracy uda nam się wyskoczyć do Lyonu na zwiedzanie. – Nie, pracujemy codziennie. No tak, jesteśmy w pracy sezonowej, która podyktowana jest warunkami pogodowymi. Winogrona trzeba zebrać szybko, zanim uschną na grządkach. Zresztą, całe zbiory przesunęły się w ostatniej chwili o tydzień wcześniej. Odwołaliśmy w kraju wiele spraw i w przyspieszonym tempie zdążyliśmy załatwić, co trzeba przed wyjazdem.

Po około kwadransie podróży pośród wzgórz obrosniętymi winoroślami aż po horyzont, dotarliśmy do miejsca naszego noclegu. Sporych rozmiarów piętrowy dom, a w nim około 30 przyjezdnych. Jeszcze przed przyjazdem Sandra poinformowała mnie, że dostaniemy własny, czteroosobowy pokój. Jak na tutejsze realia były to warunki luksusowe, których wszyscy nam zazdrościli. Pokój wprawdzie nie był zamykany na klucz – otwierało się także okno przy silniejszym wietrze. Materace w łóżkach były liche, po środku zapadaliśmy się w głęboką dziurę, ale w porównaniu z większością innych pokoi, w których pracownicy spali na materacach na podłodze (np. dwóch obcych mężczyzn na jednym materacu) albo na... europaletach w garażu, w którym suszyły się nasze kurtki, bluzy i buty, faktycznie byliśmy szczęściarzami. Warunki sanitarne nie były powalające. Dysponowaliśmy czterema prysznicami i trzema toaletami. Połowa

z nich ulokowana była na zewnątrz – w to i toiu. Spodziewaliśmy się jednak spartańskich warunków i w pierwszy dzień niespecjalnie się nimi przejmowaliśmy.

Przyszwał czas wieczornej imprezy zapoznawczej. Od wyjścia z samochodu nie dało się nie spostrzec, że króluje tu ściana wschodnia – charakterystyczny zaciąg w mowie, disco polo, alkohol pochłaniany w grubych ilościach. Faktycznie, rozmowy potwierdziły, że nasi towarzysze z pracy przyjechali z Podkarpacia i Lubelszczyzny, najbiedniejszych regionów Unii Europejskiej, zanim przystąpiły do niej Rumunia i Bułgaria. Okazało się zresztą, że okoliczne pola poza Polakami obrabiają właśnie te dwie nacje. Nasza ulica była jednak czymś na kształt „małej Polski” w sercu francuskiej prowincji – kilka domów obok również zamieszkiwali nasi rodacy, podczas wypraw do sklepu wszyscy witali się „cześć”, a w kolejce do kasy trudno było uświadczyc Francuza.

Wychodzące na jaw odmienności między nami a pozostałymi pracownikami nie uszły uwadze obu stron. Bardziej podkreślali je zresztą nowo zapoznani koledzy i koleżanki – nam nie pozwalała na to chyba politycznie poprawna „chłopomania”, z której szybko się tutaj leczylimy. Ale otoczenie dało nam od początku odczuć, że tu nie pasujemy. Zdradzało nas wszystko: język, jakiego używaliśmy, tematy, jakie poruszaliśmy, demaskatorski stosunek do wyzysku, jakiego mieliśmy doświadczyć, to, że część z nas jest wegetarianami, że ktoś nie chce mieć dzieci, że nie przywykliśmy do brudu i bycia traktowanym jak bydło. Zderzenie wartości, światopoglądów, stylów życia było aż za bardzo widoczne. Szybko musieliśmy się wyautować, że skończyliśmy dobre publiczne uczelnie lub ciągle na nich studiujemy bądź wykładamy, że jesteśmy z dużych miast, znamy języki obce, nie pracowaliśmy dotąd fizycznie, zajmujemy się w działalności społecznej obroną praw pracowniczych. – Nie wiem, o czym rozmawialiście, ale zabrzmiało to strasznie mądrze – wybełkotał totalnie pijany pierwszego wieczoru Marek, na trzeźwo milczący jak grób, po alkoholu dusza towarzystwa.

Ma 34 lata, jest kilka lat starszy od nas, ale wygląda, jakby dzieliło nas pokolenie. Twarz zniszczona od ciężkiej pracy i bimbru, poważne braki w uzębieniu, zaawansowane łysienie – ten opis pasuje tu nie tylko do niego. Mimo wszystkich różnic pierwszego wieczoru zadomowiamy się – częstujemy się trunkami, rozmawiamy do późna, jest miło. Wieczór psuje incydent z udziałem młodego chłopaka, który poważnie rani sobie palec. Po podłodze spływa duża kałuża krwi. – Zawieźmy go gdzieś, gdzie mu to fachowo opatrzą – proponujemy. Okazuje się, że nie ma ani ubezpieczenia zdrowotnego, ani prywatnej polisy od nieszczęśliwych wypadków. – Tylko niech nikt nie dzwoni do Sandry! – pokrzykuje jeden z pracowników, którzy był tu w zeszłym roku. Wówczas nie rozumiemy, dlaczego nie chce prosić o pomoc pracodawczyni.

Nazajutrz zapoznajemy się w praktyce z rozkładem dnia, który będzie nas obowiązywał przez kolejne dwa tygodnie. O 5:30 pobudka, bo do 6:30 – kiedy przyjadą po nas busy – trzeba dopchać się do łazienek, dobrać ubranie do temperatury i spakować peleryny i gumowce na wypadek deszczu. Przewożeni jesteśmy na stojąco dwoma busami bez siedzeń i szyb. Początkowo myślimy, że to jedynie dla oszczędności – później okazuje się, że pracodawcy mają ku temu ważniejsze powody. Codziennie po 10-15 minutach lądujemy w domu naszych pracodawców, gdzie mieszka kolejnych kilkunastu zbieraczy. Mają nieco lepsze warunki: pralka, internet bezprzewodowy, mniej osób przypada tu na jedną toaletę i prysznic. Jemy tam trzy posiłki dziennie. Śniadanie jest najskromniejsze: chleb, trochę dżemu, kawa, tzw. lura. Po 7.00 jesteśmy już na polu, gdzie pracujemy do południa. Wracamy na obiad, po którym mamy pół godziny odpoczynku na podwórku pracodawców. W okolicach 13.15-13.30 jesteśmy już w grządkach i planowo mamy kończyć dniówkę o 17, po 8 godzinach i 15 minutach efektywnej pracy w polu, ale w praktyce różnie to bywa. Zazwyczaj czas pracy jest przeciągany, czasem o 15 minut, raz nawet – akurat w ulewny, wycieńczający dzień – o godzinę. Po kolacji jesteśmy odwożeni na nocleg około 18:00. Do 20:00 otwarty jest sklep, do którego

dojście zabiera pół godziny. Jeżeli chcemy zdążyć, musimy dobrze ustawić się w kolejkach pod prysznic. W praktyce od 5.30 do 18.00 jest się pod kontrolą pracodawcy.

Zdążyć do sklepu to nie fanaberia. Trudno byłoby tu przetrwać bez własnych zakupów. Obiady i kolacje na ogół wyglądają tak samo. Kto spodziewał się francuskiej kuchni – serów, oliwek, bagietek, maślanych croissantów, owoców morza, ziół prowansalskich – może czuć się rozczarowany. Z regionalnych specjałów jest przynajmniej musztarda Dijon i to ona, jedzona z chlebem, staje się podstawą naszego wyżywienia. Z dnia na dzień porcje obiadowe stają się jakby większe i nieco bardziej zróżnicowane, pojawiają się w nich wreszcie jakieś warzywa, trafia się rozgotowany makaron (z tubką koncentratu pomidorowego) czy sałatka, przyrządzana z resztek z poprzedniego dnia. Są sery – po jednym małym kawałeczku na osobę. Ale dominuje wołowina, co jest zrozumiałe, ponieważ szefostwo ma także hodowlę krów. Serwowana jest dzień w dzień. Nawet część mięsożerców po kilku dniach przyznaje, że w polu odbija im się wołowym mięsem. Na deser zdarza się jogurt naturalny, lód na patyku, połowa czerniejącego banana. Nie jest to pełnowartościowy, zróżnicowany jadłospis, który pozwalałby się właściwie odżywić po całodniowej pracy fizycznej.

Największym problemem, przynajmniej w upalne dni – a te trafiają nam się na sam początek – jest jednak woda. Nawodnienie się w trakcie kilku godzin pracy w pełnym słońcu przy ponad trzydziestu stopniach wymaga dużych ilości płynów, ale pracodawcy na pole zabierają zaledwie dwa kanistry wody ze studni. W polu można liczyć na małe kubeczek wody (pół szklanki) raz na dwie, trzy godziny. To głównie z tego powodu pierwsze dni są dla nas drogą przez mękę. Ledwie wychodzimy z busa, a część zbieraczy gna już po wiadra i sekatory i zaczyna obrabiać pierwsze grządki. Zanim wejdziemy w elementarną wprawę w ścinaniu winogron i wypróżnianiu wiader, peleton jest już kilka grządek z przodu. Musimy więc zasuwać najszybciej

jak tylko się da, tym bardziej, że w pierwsze dni jesteśmy nieustannie poganiani i dyscyplinowani za przeoczenie kiści winogron. Po kilku godzinach ciągłego kucania, schylania się, wstawania i wysypywania wiader w najwyższym tempie, trudno nie czuć się odwodnionym. Przy obiedzie pochłaniamy tyle wody, ile się da, ale ciągle jest nam jej za mało. W kolejne dni próbujemy zabierać do pracy własną wodę, ale noszenie butelki jest obciążające, zostawianie jej na skraju grządek – niepraktyczne, a rzucanie jej do przodu szybko kończy się tym, że do środka przedostaje się piasek. Nie ma dobrego wyjścia z tej sytuacji i do samego końca nie potrafimy uwierzyć, dlaczego pracodawcy nie mogą zakupić dodatkowych baniaków z wodą. Tym bardziej, że pozytywnie przekładałoby się to na efektywność pracy.

Praca zbieracza jest ciężka, wyczerpująca fizycznie i nużąca psychicznie, ale można do niej przywyknąć. Kiedy po czterech-pięciu dniach mija ból kręgosłupa, przechodzą zakwasy nóg, schodzą opuchlizny na palcach, można przyzwyczaić się do zadrapań na dłoniach i unikać przecięć palców sekatorem (w polu brakuje nawet apteczki). Organizm staje się automatem do zbierania winogron – zaczyna działać na autopilocie i tempo nie sprawia mu już takich problemów jak na początku. Najbardziej dają się we znaki warunki pracy, o które powinien zadbać pracodawca. Poza chronicznym niedoborem wody, uderzające jest odczłowieczenie i skoszarowanie, którego doświadcza się tu na każdym kroku: w tym, czym się nas karmi, jak się nas przewozi, jak się do nas zwraca, jakie warunki sanitarne się nam zapewnia. – Jak Wy tu trafiliście? Do takiego obozu? – pyta mnie w trakcie wspólnej pracy Wiesiek, drobny, nieśmiały mężczyzna w średnim wieku, który do pracy sezonowej wyjeżdża od lat. To charakterystyczne, że nawet weterani emigracji, pracujący na budowach, przy taśmie i w polu przyznają, że jesteśmy w obozie pracy. – Czuję się tutaj jak śmieć. Traktują ludzi jak bydło. Polak tu jest dla nich myjakiem. Sandra jest miła tylko na początku. Potem ma cię za nic – mówi nam Włodek, który od 20 lat pracował za granicą w

kilku państwach. Z jego doświadczeniem gdyby chciał, kończyłby swoje grządki jako jeden z pierwszych. Ale nie chce. Nie rozumie, dlaczego niektórzy zasuwać tak, jakby mieli płacone na akord. Tym bardziej, że pracodawcy nie okazują pracownikom za grosz sympatii. – Szybciej! Do grządek! – wydiera się Sandra najgłośniej jak tylko potrafi, gdy tylko otwierają się drzwi busa. W niczym nie przypomina miłej blondynki z pierwszego dnia. W bluzie „Śmierć konfidentom” wygląda jak poganiaczka polskiego bydła. Gdy pod koniec pierwszego dnia Roksana, tegoroczna maturzystka, która pracowała akurat w rządku obok mnie, błada jak trup słania się na nogach, Sandra nie proponuje, by zeszła z pola napić się wody i odpocząć: – Nie siadamy, koleżanko! Rwiemy, rwiemy! W tym samym czasie Włodek wlecze się w tyle stawki – udaje, że pracuje, zwalnia, ścina liście. W kolejnych dniach, gdy otrzaskamy się już nieco z grządkami, będziemy wiedzieć, że pracować we właściwym tempie to być trochę przed Włodkiem.

Taki niemy, niezorganizowany opór to jedyne, na co można sobie w tych warunkach pozwolić. Część zbieraczy ma z pracodawcami sentymentalną, niemal rodzinną więź – przyjeżdżają tu od lat i są wprost wymarzonymi łamistrajkami. – Czemu oni się obijają i dostają tyle, co my?! – słyszymy pierwszego dnia pod adresem naszym i pozostałych nowych zbieraczy, którzy pracują nieco wolniej. Ta mentalność dobrowolnego przodownika pracy jest zrozumiała. Wydaje im się, że złapali Pana Boga za nogi dostając tę robotę. W rzeczywistości 6,90 euro za godzinę, które tutaj dostają, to stawka gruba poniżej francuskiej minimalnej płacy godzinowej, która wynosi 9,68 euro. Żaden Francuz nie pracowałby za tyle z prostej przyczyny: nie dałby rady się utrzymać. Jeżeli sprzedając w kiosku gazety jest w stanie zarobić niecałe 10 euro, to dlaczego miałyby zasuwać w pocie czoła i bez wody, żyjąc w skoszarowaniu, za niespełna 7 euro? Wystarczy przejść się do sklepu, żeby przekonać się, jak niewiele można kupić za godzinę naszej harówki. Ale nawet ci zbieracze, którzy zdają sobie sprawę z wyzysku, jakiego doświadczają, nauczeni są spolegliwości. – Tutaj to się

mieszka jak w chlewie. U mnie krowy mają lepsze warunki niż ja tu – wkurza się Tadek, postawny chłopak o donośnym głosie. – Ale takie już jest życie. Nic nie zrobisz. W Belgii to dopiero była robota, do 21:00 się pracowało. Tu to jest chuj, nie robota w porównaniu z tym.

Powtarzanie, że gdzieś jest lub że zawsze mogłoby być gorzej, to stała strategia racjonalizowania sobie koszmarnych warunków, w jakich się znaleźliśmy. Po tym gdy do naszego domu trafiają kolejne osoby, jest nas około 50. Kolejki do łazienek robią się nieznośne, prysznice zapychają się w trakcie kąpieli, smród z toalet jest obrzydliwy. Po dwóch deszczowych dniach w garażu, w którym niektórzy śpią cuchnie nie do wytrzymania. Oznaki niezadowolenia są coraz bardziej widoczne. – Zapierdalać, Rumuny! – krzyczy ktoś w polu. – Zamknij mordę, biały murzynie! Zaczynamy śmieiej wypytywać innych, czy im to wszystko nie przeszkadza. Okazuje się, że nawet wielu z najbardziej przykładowych pracowników, podziela naszą negatywną ocenę, ale zarazem przestrzega nas przed ich zbyt odważną manifestacją: – W zeszłym roku był tu strajk. Poszło o niepłatne nadgodziny. Przed obiadem odmówiliśmy pracy. Po obiedzie przyjechał szef i kazał wybierać: albo wracamy do roboty, albo wypad do Polski. Zrobiono głosowanie. 10 osób opowiedziało się za strajkiem, reszta za powrotem do pracy. Pierwsi wrócili do domów, bezskutecznie prosząc ambasadę o pomoc. – To byli Ślązacy – podkreślają wszyscy, mówiąc o tożsamości buntowników.

Gdy na 3 dni do pomocy w polu przyjeżdżają kolejarze, zaczynamy dostrzegać, jak różną kulturę pracy reprezentują zbieracze i jak związana jest ona z regionem, z którego pochodzą i pracą, jaką wykonują w Polsce. Nauczonym nowoczesnej organizacji pracy i szacunku dla pracownika kolejarzom od samego początku przeszkadzają te same rzeczy, co nam i podobnie jak my nie omieszkają mówić o nich głośno. Gdy w pierwszy dzień zaprotestowałem u Sandry przeciwko niepłatnym nadgodzinom, zwłaszcza w upał, chwilę później szef bez żadnego

powodu odebrał jednemu z nas wiadro i sekator, kazać mu wracać do Polski. – To była pokazówka – powiedział nam Włodek. – W zeszłych latach kilka osób wyrzucali tak do Polski, niby za złą pracę. Chodzi o to, żebyśmy się bali, że puszcza nas przed terminem bez wypłaty. W pierwsze dni takich sztuczek było zresztą więcej. Bo jak nazwać upomnienia, by nie pomagać sześćdziesięcioletniej pani opróżniać wiadra, kiedy sama nie daje rady?

Po tym, jak poznajemy historie kolejnych zbieraczy, rozumiemy dlaczego ten straszak działa. My mamy w Polsce swoje kariery, nie najgorsze kwalifikacje, jakąś alternatywę. Ale co ma powiedzieć taki Mirek, który przed wyjazdem pracował jako kierowca busa pasażerskiego? – Miesiąc w miesiąc miałem ponad 300 godzin wyjeżdżonych. I za co to? Za 1850 zł brutto plus koperta, ale to też nie zawsze – zwierza mi się wysuszony mężczyzna, nerwowo zaciągając się papierosem. Któregoś dnia wracał po całym dniu pracy do domu. Przed samym domem zasłabł za kierownicą, zjechał na pobocze, uderzył w barierki, rozbił głowę. W nagrodę wyleciał z pracy. Dla niego powrót stąd bez wypłaty byłby koszmarem. Podobnie jak dla Patryka, łysego koksa, który chciałby uchodzić za macho, ale ma tu wizerunek grupowego błazna i dużego dziecka. Dwadzieścia cztery godziny na dobę raczy nas swoimi nużącymi żarcikami o seksie. Utrzymuje, że przyjechał tu dla rozrywki: – Darmowe wakacje we Francji. Słońce, disco, disco, cipuchy! Choć w kraju bawi się w nielegalne walki i działał w bojówce klubu piłkarskiego, wszyscy wiedzą, że jest łagodny i nieszkodliwy. Typ, który dużo gada, mało robi. Któregoś wieczoru wpada do nas i jedyny raz udaje się z nim wtedy porozmawiać na serio. – Byłem ochroniarzem. Umowa zlecenie za 850 zł miesięcznie, a w pracy codziennie. Po 12 godzin, nie 8. Olałem to. W dodatku problemy domowe: ojciec wyrzucił go z domu, zamieszkał z dalszą rodziną. Chociaż oficjalnie Patrykowi chodzi tylko o to, żeby na koniec dniówki wrzucić do pojemnika z winogronami jakąś dziewczynę, rozumie się samo przez się, że nie bardzo ma do czego wracać. Dla niego ten wyjazd to faktycznie wakacje,

ucieczka od problemów, bycie wśród ludzi.

Są jeszcze inne strategie wyparcia gorzkiej rzeczywistości, poza afirmacją siebie w przodownictwie pracy, żartami czy powtarzaniem, że gdzieś jest gorzej i „takie jest życie”. Jedną z najbardziej rozpowszechnionych są ciągłe przechwałki: może i tutaj jestem nikim, ale w Polsce zbudowałem wielki dom, zmieniłem samochód, wystawiłem drogie wesele, kupiłem żonie markowy pierścionek. Wiele z nich można między bajki włożyć – tak się składa, że wielu przyjezdnych pochodzi z sąsiadujących wsi i żadne kłamstwo się tu nie uchowa. Najbardziej skutecznym znieczulaczem jest oczywiście alkohol. Byli wśród nas zbieracze, którzy właściwie nie trzeźwili. Dotyczyło to zwłaszcza „benowych” – czyli pracowników, którzy taszczyli na plecach duże zbiorniki na winogrona, do których przesypywaliśmy nasze zbiory. Ci mieli wino w polu zapewnione przez pracodawców, po to, by – jak sami szczerze przyznawali – znieczulić się na ból. Dziennie jeden zbieracz ściąga z krzaków od 500 do 700 kilogramów winogron. Ośmiu, dziewięciu „benowych” musi codziennie przenieść na swoich plecach 30-40 ton do traktorów. Są na nieustannym gazie, ale problemy alkoholowe dotyczą nie tylko ich. Wieczorami dostajemy od pracodawców tutejsze wino w baniakach – ale kultura jego spożycia przywieziona zostaje z polskiej wsi: wino pije się tutaj jak wódkę, cały kubek „na raz”. Nikt się tu nim nie delectuje, nie urządza przy nim pogaduszek. Wieczory kończą się szybko, pijane towarzystwo kładzie się spać, niektórzy wstają do pracy jeszcze mocno pod wpływem. Dowiadujemy, że na przykład taki Włodek, który twierdzi, że do pracy sezonowej jeździ z przyzwyczajenia, bo w kraju czeka na niego piękny dom, przepija miesięczny zarobek (7 tysięcy złotych) w 2-3 miesiące. W rzeczywistości mieszka w nieotynkowanej norze, z której ucieka, by zarobić na kolejne libacje. Przestajemy się dziwić, że nie wszystkim przeszkadzają tutaj warunki sanitarne, kuchnia, pijaństwo. My mamy dość.

Po tym, gdy w Polsce wynikły dla nas pilne sprawy, po 8 dniach

uznaliśmy, że pora szykować się na powrót. Z Sandrą uzgadnialiśmy dwutygodniowy pobyt, ale wobec traktowania, jakie tu zastaliśmy, nie czuliśmy się szczególnie zobowiązani troszczyć się o jej zyski. Tym bardziej, że praca okazała się nielegalna. Już na samym początku doświadczeni pracownicy przekonywali nas, że umowy, które podpisaliśmy pierwszego dnia są jedynie podkładką na wypadek kontroli żandarmerii. Obowiązują jeden dzień – i to wystarczy, żeby kontrola zakończyła się pomyślnie. Nasze przepychanki z pracodawcami wokół wyjazdu potwierdziły ich przypuszczenia.

Kiedy rano poinformowaliśmy Sandrę, że zarezerwowaliśmy już autokar na powrót i wrócimy pojutrze, po 10 przepracowanych dniach, wpadła w szal. – To niemożliwe. Nigdzie nie jedziecie. Macie umowy podpisane na cały okres zbiorów – ostrzegała nas. Tyle, że nikt tutaj nie wiedział, ile trwa okres zbiorów. Przed przyjazdem Sandra mówiła o 14 dniach, które mogą się wydłużyć do 18. Niektórzy mówili, że słyszeli o trzech tygodniach, inni, że przyjechali tu na ponad miesiąc. Mimo to, nikt nie miał odwagi zapytać, jak jest naprawdę. To nie był nasz problem, byliśmy zdecydowani wyjechać. Kiedy odpowiedzieliśmy, że takie umowy można w każdej chwili zerwać, Sandra postraszyła nas 10-procentowym potrąceniem z wypłaty. – Dobrze, to nam potrącisza. Tylko pokażesz nam najpierw odpowiednie zapisy na egzemplarzu, którego nie dostaliśmy. I to w polskiej wersji. Wściekła wsiadła do busa.

Kolejne podejście nastąpiło po obiedzie. Na naszą prośbę o to, żebyśmy ustalili termin wypłaty, Sandra wykrzyczała nam: – Wy robicie problemy mi, to ja robię Wam. I znowu uciekła do busa. W tym momencie żarty się skończyły. Nie wiedzieliśmy, czy wydostaniemy się stąd z pieniędzmi. W związku z tym po południu odmówiliśmy pracy, do czasu wyjaśnienia z pracodawcami naszej sytuacji. Dopiero to przymusiło ją do rozmowy. Nie mówiła już, że nie możemy wyjechać. Teraz problemem okazały się zamknięte w weekend banki, z których nie mogła pobrać naszych wypłat. Wiedzieliśmy, że kwota, o której

rozmawiamy jest skromna i bez problemu mogłaby ją wypłacić z całodobowego bankomatu, a najpewniej ma ją w domu. Z oczu pociekły jej łzy: – Ja teraz nie znajdę dla Was zastępstwa. Winogrona uschną. Nie zarobię. Nie robiło to na nas wrażenia, bo dowiedzieliśmy się, że kolejnego dnia przyjeżdża kolejne kilkanaście osób do pracy. I do kolejek do łazienki i po wodę. Dlatego zaproponowaliśmy płatność przelewem. Gdy odmówiła bez żadnego uzasadnienia, stało się dla nas jasne, że przez cały czas byliśmy tu „na czarno”. Wszystko zaczęło się logicznie sklejać w jedną całość: skąd strach pracowników przed brakiem wypłat, przed kontuzją w pracy, zsyłkami do Polski, dlaczego poleciła nam, byśmy wykupili polisę turystyczną, a nie pracowniczą. Nie mieliśmy żadnych praw pracowniczych, ale jednocześnie moglibyśmy zaszkodzić nieuczciwym pracodawcom. Gdy także szef zrozumiał, że nie rozmawia z niezaradnymi wieśniakami nieznającymi języków, tylko z ludźmi, którzy będą wiedzieć, jak rozwiązać tą sprawę na drodze urzędowej, przestał na nas krzyczeć, że mamy sobie wracać do Polski. Zaproponował wypłatę dwa dni później, po otwarciu banków. Odebraliśmy to jako propozycję kompromisu, na którą przystaliśmy. Zrozumieliśmy jednak, jak mocną pozycję przetargową mają polscy pracownicy na winobranii: każdy przestój w pracy powoduje materialne straty dla właściciela pola i dla pośredników, a zastąpienie z dnia na dzień 50-60 pracowników nie jest możliwe. Pracownicy mają wszelkie możliwości, by załatwić przynajmniej tak podstawowe kwestie jak woda w trakcie pracy, brak darmowych nadgodzin, apteczka w polu, czy więcej toi toiów.

Pęcznienie gron gniewu w realiach polskiej emigracji sezonowej najeżone jest jednak trudnościami, których nie znajdziemy u Steinbecka. Przekonanie, że żądanie elementarnego szacunku dla siebie i własnej pracy to przejaw nieuzasadnionej roszczeniowości i zwykłej lekkomyślności, że na naszą upragnioną pracę czekają już setki zdesperowanych sąsiadów z podkarpackiej wsi, że „taki jest już los” Polaków, „białych murzynów” w Europie, jest tu głęboko zakorzenione. Opuściliśmy

uroczą francuską prowincję, której nawet nie zakosztowaliśmy, z poczuciem ulgi, jaka musi wiązać się z odzyskaniem pełni człowieczeństwa i autonomii. W portfelu mieliśmy trochę banknotów euro, które starczą na miesiąc, może dwa miesiące życia. Ale naszą najcenniejszą zdobyczą były doświadczenia, zebrane wraz z tonami winogron, po które schylaliśmy się pokornie, krzyżując nasze sekatory z ludźmi, którzy nie istnieją na co dzień w naszych wielkomiejskich bańkach. Kiedy na drugi dzień jedliśmy we włoskiej knajpce w Lyonie przepyszną pizzę najeżoną warzywami, byliśmy w stanie w pełni ją docenić. Po tym wyjeździe lepiej rozumiemy, że Europa nie smakuje dla wszystkich Polek i Polaków tak samo. Dla niektórych beaujolais ma jedynie gorzki smak.

Autorstwo: Łukasz Moll

Zdjęcie: [SteffanMaurhoff](#) (CC0)

Źródło: [Strajk.eu](#)